

Bronisław Borysiak

Wspomnienia z pobytu w Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Laosie 1961-1962

Przegląd Historyczno-Wojskowy 12 (63)/5 (238), 113-126

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIA Z POBYTU W MIĘDZYNARODOWEJ KOMISJI NADZORU I KONTROLI W LAOSIE W LATACH 1961–1962

Moje pierwsze wspomnienia z wyprawy do Laosu napisałem już w 1996 roku jako jeden z elementów kroniki rodzinnej. Pisząc je po trzydziestu czterech latach od wyjazdu z tego kraju opierałem się przede wszystkim na swojej pamięci oraz korzystałem ze zbioru zdjęć wykonanych w czasie misji. Niektóre fakty i wydarzenia oraz ich opis mogą być niekiedy subiektywne.

Pisząc obecną wersję wspomnień sięgnąłem do odnalezionej niedawno i przypadkowo mojej korespondencji wysyłanej do rodziny w kraju. Jest ona bogata, ponieważ list lub kartkę wysyłałem z reguły raz w tygodniu. W związku z tym obecna wersja wspomnień jest nieco rozszerzona i wzbogacona o inne wydarzenia oraz bardziej uporządkowana.

Po ukończeniu studiów w Akademii Sztabu Generalnego Wojska Polskiego pełniłem służbę w 40 pułku zmechanizowanym w Bolesławcu Śląskim. Pułk wchodził w skład 10 Dywizji Pancerniej, której dowództwo stacjonowało w Opolu. Wiosną 1961 roku ówczesny szef Wydziału Kadr tej dywizji, kpt. Piotr Bogdański, z którym razem kończyłem Oficerską Szkołę Piechoty w Jeleniej Górze, zaproponował mi wyjazd do Wietnamu w charakterze członka Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli. Był to organ międzynarodowy złożony z przedstawicieli Indii, Kanady i Polski. Powołany został w 1954 roku w celu czuwania nad wykonaniem postanowień konferencji genewskiej w sprawie Wietnamu, Kambodży (dawniej Kambodża) i Laosu. W krajach tych w latach pięćdziesiątych–siedemdziesiątych toczyły się walki partyzanckie pomiędzy ugrupowaniami lewicowymi a siłami prozachodnimi. (...)

Otrzymałem propozycję wyjazdu, ponieważ znałem język francuski (uczyłem się go w gimnazjum w Poznaniu w latach 1947–1948), którym w Indochinach posługiwała się miejscowa ludność, niedawno ukończyłem studia wojskowe w Akademii Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, w służbie osiągałem dobre wyniki i cieszyłem się nienaganną opinią.

Nad złożoną propozycją długo się nie zastanawiałem, lecz ostateczną zgodę na wyjazd uzależniałem od zdania żony, która nie sprzeciwiała się temu, chociaż na pewno żywiła obawy jak sobie sama poradzi z dwójką naszych chłopaków (8 i 5 lat) i prowadzeniem domu. Ponadto trwające w Indochinach walki też nie nastrojały jej zbyt optymistycznie. Zawsze mogło zaistnieć niebezpieczeństwo utraty życia lub okaleczenia. Ostatecznie wyraziłem zgodę na wyjazd i w połowie kwietnia 1961 roku, po częściowym rozliczeniu się z jednostką, zostałem wezwany do Jednostki Wojskowej 2000 w Warszawie przy ul. Żwirki i Wigury na kurs przygotowawczy. W naszej grupie było kilkunastu oficerów, głównie kapitanowie, i cywilów. Ja też byłem kapitanem.

Po przeprowadzeniu gruntownych badań lekarskich rozpoczęły się zajęcia szkoleniowe. Uczono nas języków angielskiego i francuskiego, w zależności od stopnia ich znajomości prawa międzynarodowego, a także zapoznawano z sytuacją polityczno-wojskową panującą na Półwyspie Indochińskim, miejscowymi zwyczajami i naszymi zadaniami. Uczono nas też umiejętności sporządzania notatek i meldunków oraz przesyłania ich przy pomocy szyfrów do centrali. W tym czasie przygotowywano nasze organizmy na wszelkie możliwe choroby tropikalne, szczepiąc nas m.in. przeciwko cholercie, tyfusowi i malarii.

Miałem wraz z kolegami udać się do Wietnamu, ale w związku z reaktywowaniem komisji w Laosie, niektórzy otrzymali propozycję wyjazdu do tego kraju. Kilku oficerów ze względu na toczące się tam walki zrezygnowało z wyjazdu.

W związku z koniecznością szybszego niż zakładano wyjazdu, szkolenie znacznie nam skrócono i pierwsza grupa kilku oficerów i cywilów z ambasadorem A. Morskim na czele już pod koniec kwietnia wyleciała do Laosu. Leciałem w drugiej grupie. Byli w niej kapitanowie: Józef Fijał, Zdzisław Harz, Bruno Kozak, Zenon Olszewski, Antoni Roguski. Na początku maja samolotem Polskich Linii Lotniczych LOT wylecieliśmy z Okęcia do Moskwy. Przed wyjazdem były pewne trudności z zaopatrzeniem nas w odpowiednie mundury szyte na miarę u wojskowych krawców. Niektórzy odbierali je w dniu odlotu. Otrzymaliśmy m.in. mundury galowe barwy kremowej, w których nieźle się prezentowaliśmy.

Około południa odlecieliśmy do Moskwy. Lot nie trwał długo. Pierwszy raz w życiu leciałem samolotem, podobnie i inni koledzy. Mieliśmy więc sporo emocji. Ponieważ odlot z Moskwy planowany był około północy, część z nas pojechała do centrum miasta, aby móc je zobaczyć. Byliśmy na placu Czerwonym przed Kremlem i w Mauzoleum Lenina. Moskwa robiła wrażenie. Miałem ze sobą aparat fotograficzny Zorka-5, ale źle założyłem kliszę fotograficzną i żadne zdjęcie nie wyszło. Aparat jak na owe czasy był niezły. Towarzyszył mi przez cały mój pobyt w Indochinach i w drodze powrotnej do kraju. Do dzisiaj jest sprawny, ale już go nie używam.

Dalsza trasa wiodła przez rozległe terytorium ZSRR do stolicy ludowych Chin – Pekinu. Wystartowaliśmy około północy samolotem Tu-104, pierwszym radzieckim odrzutowcem pasażerskim. Zmęczeni, szybko zasnęliśmy. Po kilku godzinach lotu nagle przebudziłem się, a powodem tego był potworny ból ucha. Siedzący obok mnie kpt. Zenon Olszewski doznał tego samego. Przypuszczalnie samolot nie był hermetycznie szczelny, a my w czasie dość szybkiego schodzenia do lądowania w Omsku – już za Uralem, w Azji – nie przetykaliśmy śliny i tym samym nie wyrównywaliśmy ciśnienia w uszach z ciśnieniem zewnętrznym. Już nigdy podczas wielu moich podróży po świecie podobnych sensacji nie doznałem.

Lotnisko w Omsku było bardzo duże. Srebrzyste samoloty w porannym słońcu wyglądały jak wielkie stado ptactwa na polu, natomiast zabudowania portu lotniczego były bardzo mizerne. Kilka drewnianych baraków, w których czekało na odlot wielu, przeważnie radzieckich, podróżnych z różnymi tobołami i byle jak odzianych. W Omsku lądowaliśmy wraz z nastaniem świtu. Po zatankowaniu i zabraniu nowych pasażerów ponownie wystartowaliśmy. Tym razem do Irkucka nad jeziorem Bajkał. Była piękna słoneczna pogoda i jezioro było doskonale widoczne. Z góry jego powierzchnia wydawała się prawie granatowa.

W Irkucku – starym syberyjskim mieście – długo nie zabawiliśmy. Był jednak krótki spacer po ulicach w pobliżu lotniska. Miasto znane polskim zesłańcom z okresu powstań

narodowych. Ich potomkowie mieszkają tam do dziś. Duża część ludności zamieszkiwała wówczas (1961 rok) w typowych dla tego regionu drewnianych domach z charakterystycznymi zdobieniami i barwnymi malowidłami.

Ponowny start i lot do Pekinu odbył się już bez międzylądowania. Lecieliśmy m.in. nad pustynią Gobi, na wysokości 9–10 tys. m, a mimo to dało się zauważyć biegnącą przez pustynię linię kolejową. Powietrze było bardzo przejrzyste, nawet z tej wysokości można było gołym okiem dostrzec na tle żółtego piasku stosunkowo małe przedmioty. Do Pekinu nasza grupa przyleciała przed wieczorem. Po wyjściu z samolotu od razu zrobiło się nam gorąco. Temperatura była w granicach 30°C, podczas gdy w Moskwie wynosiła około 0°C, a na lotniskach syberyjskich utrzymywał się jeszcze srogi mróz. Było też parno.

Na pekińskie lotnisko przybył po nas oficer z polskiego ataszatu wojskowego, który pilotował nas do hotelu w centrum miasta. Jazda trwała dość długo, gdyż lotnisko leży około 30 km od miasta. W hotelu pierwszy posiłek w europejskim wydaniu i pierwsza kartka wysłana do rodziny w Polsce z tak egzotycznego kraju, jakim były wówczas Chiny. Pocztówka ta zachowała się do dzisiaj w moich zbiorach.

W Pekinie, wielkiej metropolii ludowych Chin, byliśmy przez kilka dni, oczekując na dalszy lot do Hanoi – stolicy Wietnamu Północnego. W tym czasie zwiedzaliśmy stolicę kraju. Prawie wszyscy mieszkańcy miasta, nie wyłączając kobiet, podobnie zresztą jak i całych Chin, ubrani byli w drelichy typu żołnierskiego. Tylko od czasu do czasu można było spotkać mężczyznę ubranego po europejsku (biała koszula i ciemne spodnie). Podobno tak odziani chodzili tylko wysokiej rangi urzędnicy i dygnitarze partyjni i państwowi. Na ulicach tłumy ludzi – pieszo i na rowerach. Rozmaite pojazdy ciągnęły osły i muły. Samochodów osobowych prawie nie było widać. W sklepach puste półki, prawie wszystkie towary na kartki. W czasie tego kilkudniowego pobytu w Pekinie spotkałem tylko dwie–trzy kobiety w strojach europejskich, najprawdopodobniej były to cudzoziemki.

Jeśli chodzi o zabytki architektury, to najbardziej podobały mi się dawne rezydencje cesarskie, pałace: Zimowy i Letni. Położone są one w dawnym Mieście Zakazanym, które leży w granicach starego Miasta Cesarskiego. Wszędzie można spotkać wiele świątyń (pagód) oraz innych zabytkowych budowli o charakterystycznej chińskiej architekturze (pawilony, dekoracyjne bramy drewniane, wieże i altanki).

Byliśmy też na placu Tienanmen, gdzie odbywają się uroczystości państwowe oraz defilady wojskowe z udziałem najwyższych władz Chińskiej Republiki Ludowej. Na tym placu w latach dziewięćdziesiątych doszło do masakry ludności w czasie protestu zorganizowanego przez chińskich dysydentów. Bardzo żałuję, że nie zwiedziliśmy chińskiego muru. Trzeba było jednak pojechać kilkadziesiąt kilometrów poza miasto, a my nie dysponowaliśmy większą gotówką. Na podróż nie otrzymaliśmy żadnych pieniędzy. Hotele i posiłki zapewniał nam przewoźnik.

Po kilkudniowym pobycie w Pekinie kontynuowaliśmy lot przez Chiny na południe, do Hanoi w Wietnamie. Trasa wiodła przez Wuhan do Kantonu, a następnie w kierunku zachodnim do Nanning. Podczas 1–2-dniowych przerw w podróży, spowodowanych niesprzyjającymi warunkami atmosferycznymi, zwiedzaliśmy miasta. W Wuhan dotarliśmy aż do rzeki Jangcy. Do Nanning, miasta położonego już niedaleko wietnamskiej granicy, przybyliśmy kilka dni później. We wszystkich miastach chińskich opiekowali się nami

przedstawiciele Chińskich Linii Lotniczych oraz oficerowie miejscowych garnizonów Chińskiej Armii Ludowej. Oni to w bajecznie położonym w górach garnizonie nanningskim urządzili nam serdeczne pożegnanie, życząc szczęśliwego powrotu do ojczyzny po wypełnieniu misji.

Do Hanoi dotarliśmy 13–14 maja. Ulokowano nas w hotelu „Hao-Binh”, w którym mieszkali członkowie MKNiK w Wietnamie. Czekać na lot do Vientiane, zwiedzaliśmy miasto. Obiektami godnymi obejrzenia są jedynie świątynie buddyjskie i kilka innych starszych budowli.

Z pobytu w Hanoi wspominam dwie rzeczy. Po pierwsze, tu wypilem pierwszy i ostatni w życiu kieliszek czystego spirytusu, którym poczęstował nas szef grupy łączności, były partyzant, kpt. Stanisław Mazurek. Zostałem wprawdzie poinstruowany przez któregoś z kolegów, jak należy pić tak wysokoprocentowy trunk, ale i tak potężnie się nim zakrzusilem i przez dłuższy czas nie mogłem wymówić słowa. Po drugie, przygodę, którą przeżył kolega podczas zwiedzania miast. Otóż, zagubił się i nie znając miejscowych obyczajów zapytał przechodzącą dziewczynę o drogę do hotelu. Nie wiem, w jakim języku pytał, ale momentalnie zrobiło się wokół niego zbiegowisko. Został posądzony o molestowanie dziewczyny i dopiero interwencja policji uratowała go z opresji. Podobno cudzoziemcom nie wolno było rozmawiać z kobietami wietnamskimi. O zdarzeniu naturalnie został powiadomiony polski przedstawiciel w MKNiK, a my wszyscy pouczeni i ostrzeżeni przed podobnymi zachowaniami.

Wspomnę, że już w Chinach skosztowałem pierwszych przysmaków chińskiej kuchni. Mięsne potrawy podawano w słodko-kwaśnych sosach. Bardzo mi smakowały.

Do stolicy Laosu, Vientiane, przylecieliśmy około 20 maja. Czekali już na nas koledzy, którzy do Laosu przybyli w pierwszej grupie. Początkowo zakwaterowano nas w hotelu położonym niedaleko miejscowego targowiska, ale już po kilku dniach zostaliśmy przeniesieni do innego, położonego w centrum miasta. Mieścił się w nim także nocny lokal, czynny do godz. 5.00 rano. Całą noc grała orkiestra i nie zawsze można było spokojnie odpoczywać, tym bardziej że adaptowaliśmy się do nowych warunków klimatycznych i czasowych. W Laosie klimat charakteryzuje się wysokimi temperaturami i bardzo dużą wilgotnością powietrza. W porze monsunowej występują intensywne opady połączone z burzami, w okresie zimowym – susza.

Przez pierwsze kilka tygodni pobytu w Vientiane w zasadzie nie pracowaliśmy. Nie było jeszcze sprecyzowanych zadań, nasza delegacja nie miała miejsca do pracy i odpoczynku. Jedynie ambasador i jego zastępcy (Marek Thee i płk Bronisław Jabłoński) mieli odpowiednie warunki do pracy. Taka sytuacja trwała około miesiąca, a w tym czasie Hindusi, którzy przewodniczyli Komisji, wypożyczyli polskiej delegacji trzy położone obok siebie budynki z pokojami przeznaczonymi na hotel, jeden budynek wykorzystano na biuro. Wyposażenie było bardzo dobre, było wszystko z wyjątkiem klimatyzacji, którą zastępowały różnej wielkości wiatraki. Pokoje były 2-osobowe. Mieszkałem z kpt. Józkiem Fijałem, z którym do dziś utrzymujemy koleżeńskie stosunki. Był już w Laosie w latach 1955–1956. Pokój na parterze był bardzo duży, miał około 40 m². Łóżka były szerokie, bez sprężynowych materacy, aby zapewnić ciału możliwie największy dostęp powietrza. Na noc trzeba było opuszczać moskitiery, żeby zabezpieczyć się przed ukąszeniem komarów, które sprytnie chowały się

w różnych zakamarkach łóżka. Zdarzało się, że pomimo dokładnego sprawdzenia pościeli przed ułożeniem się do snu, budziliśmy się w nocy pokąsani. Jednej nocy zostałem nawet ukąszony w najbardziej czułe dla mężczyzny miejsce i to w dodatku na samym szczycie.

Posiłki jadaliśmy początkowo w restauracji położonej nad Mekongiem. Po drugiej stronie rzeki był już Syjam, czyli obecna Tajlandia. Nieraz na łodziach kanoe pływaliśmy po Mekongu, docierając czasem na drugi brzeg. Granicy nikt nie pilnował. Robili to także mieszkańcy jednego i drugiego kraju. Po kilku miesiącach, ze względu na obniżenie poziomu jakości i wielkości posiłków, przenieśliśmy się do restauracji prowadzonej przez Francuza ożenionego z Azjatką, chyba Japonką, kobietą bardzo urodziwą i sympatyczną. W każdą niedzielę na ruchomej (na kołach) kuchni i na naszych oczach przygotowywała nam japońskie potrawy. Najbardziej smakowało nam sukijaki. Obecnie w Warszawie też można w japońskiej restauracji zamówić taką potrawę.

Początkowo otrzymywaliśmy dzienną dietę, o ile się nie mylę w wysokości 12 dolarów amerykańskich. Hindusi, którzy rządzą kasą i zaopatrzeniem, po około 2 miesiącach zorientowali się, jakie są koszty utrzymania i nieco zmniejszyli nam diety. Dzielne wyżywienie w restauracji kosztowało mniej więcej 4 dolary. Oszczędnie gospodarując można było odłożyć 4–5 dolarów. Wartość miejscowej waluty – kipa, w stosunku do dolara kształtowała się wówczas podobnie jak nasza złotówka. Ile to wynosiło? Dziś już nie pamiętam. W każdym razie butelka koniaku „Martel” kosztowała około 4 dolary. Wydaje mi się, że otrzymywaliśmy jeszcze dodatek na papierosy – 1 dolar dziennie.

Poza dietami wypłacanymi w kipach lub dolarach można było otrzymać także 20% kwoty uposażenia dolarowego wypłacanego nam w kraju. Nie były to kwoty wysokie, gdyż uposażenie w zależności od zajmowanego stanowiska i stopnia wojskowego wynosiło od 80 do 130 dolarów, nie licząc oczywiście kierownictwa, które otrzymywało znacznie więcej. W kraju nie można było otrzymać tego uposażenia w „żywej” walucie, lecz wyłącznie w złotówkach lub bonach towarowych.

Początkowo nasza delegacja do Komisji, może z wyjątkiem kierownictwa, nie miała dużo pracy. Starcia zbrojne, pomimo podpisania umowy o zawieszeniu broni, trwały. Podczas mojego pobytu nie porozumiano się co do zorganizowania grup kontrolno-obszernych w terenie.

W naszej delegacji zostałem zatrudniony w tzw. wydziale operacyjnym, którym kierował mjr Czesław Lech, pochodzący z Francji. Świetnie znał język francuski, a i angielskim też nieźle władał. W latach późniejszych był ambasadorem w jednym z krajów afrykańskich. Moim głównym zadaniem było prowadzenie mapy sytuacyjnej całego Laosu i nanoszenie na nią danych zawartych w skargach i zażaleniach napływających do Komisji o naruszaniu umowy o przerwaniu ognia przez strony konfliktu. Na tej podstawie przygotowywałem dla kierownictwa wstępne materiały na posiedzenia Komisji.

Jak już zaznaczyłem, początkowo pracy nie było dużo. Koledzy przewidziani do pracy w grupach kontrolnych właściwie nie mieli nic do roboty. Po utworzeniu podkomisji w Xieng Khouang latali tam w charakterze oficerów łącznikowych.

Nieco później, wraz ze wzrostem liczby skarg, pracy miałem coraz więcej. Po kilku miesiącach przygotowałem dla kierownictwa opracowanie analityczne, z którego wynikało, że wojska Północy, czyli Pathet Lao, mają, według zażaleń strony prozachodniej, armię liczącą

około 150 tys. żołnierzy. Było to oczywiście niemożliwe, ale napływ tych skarg znacznie zmalał, a pod koniec mojego pobytu ustał prawie zupełnie. W związku z tym wykonywałem też zadania oficera łącznikowego, latając samolotem komisyjnym do Xieng Khouang. Pilotem samolotu był Francuz. Ponieważ ochotnikom pozwalał go pilotować, więc skorzystałem z propozycji. Jeżeli pogoda była dobra, to należało jedynie wykazać się umiejętnością utrzymania odpowiedniego kursu i wysokości.

Z tymi lotami mam jedno niezbyt przyjemne wydarzenie. Był to mój pierwszy lot do podkomisji. Dzień był pochmurny, utrzymywał się niski pułap chmur, a ponieważ lotnisko leżało na płaskowyżu otoczonym wyższymi górami, pilot, aby je zidentyfikować i wylądować, musiał lecieć wąwozami i wykonywać skręty pod bardzo ostrym kątem. Dla pasażerów było to bardzo niepokojące. Chwilami wydawało się, że samolot rozbije się o zbocze góry, kiedy w szybkim locie zbliżał się do niej. Pilot znał jednak dobrze trasę, latał na niej wielokrotnie, więc szczęśliwie dotarliśmy do celu. Lot powrotny odbył się już przy pięknej bezchmurnej pogodzie.

Były i inne sytuacje pełne dramatycznych przeżyć. Wracaliśmy samolotem Komisji z Xieng Khouang. Nad lotniskiem w Vientiane, bardzo zresztą prymitywnym i bez specjalnych urządzeń nawigacyjnych, zalegały niskie chmury i pilot bez odpowiedniego naprowadzania bał się zejść poniżej ich pułapu, aby nie uderzyć w przeszkodę lub nie wylądować w dżungli. Długi czas krążył w pobliżu i nad lotniskiem, usiłując znaleźć „dziurę” w gęstej powłoce chmur, a zapas paliwa powoli się wyczerpywał. Część pasażerów wpadła w panikę. Kiedy paliwo było już na wyczerpaniu, pilot zaryzykował. Nie miał przecież innego wyjścia, zszedł poniżej chmur i szczęśliwie wylądował.

Innym razem chwile grozy przeżyliśmy nie w powietrzu, ale po wylądowaniu na lotnisku. Nasz samolot z przedstawicielami Komisji na pokładzie został ostrzelany nad dżunglą przez nieznaną sprawców. Z tego co pamiętam, to podobno stwierdzono ten fakt dopiero po wylądowaniu samolotu na lotnisku. Przeprowadzone dochodzenie nie przyniosło żadnych rezultatów.

W czasie mojego pobytu w Laosie uczestniczyłem w ubezpieczeniu jedynych rozmów, które przeprowadzili w Vientiane przywódcy trzech stron konfliktu, wymieniani już poprzednio. Ze względu na bezpieczeństwo, każdej delegacji towarzyszyły pododdziały wojskowe własnego ugrupowania. Miałem być obecny na lotnisku podczas przylotu i odlotu tych wojsk oraz przed budynkiem, w którym toczyły się obrady. Obecność członków MKNiK miała zapobiec ewentualnym nieporozumieniom. Nikt jednak nie poinstruował nas jak mamy się zachować, np. w przypadku strzelaniny. Na posterunkach stali przecież obok siebie żołnierze walczących ze sobą ugrupowań.

Jednym z przyjemniejszych obowiązków było uczestniczenie naszej delegacji, przeważnie z ambasadorem na czele, w przyjęciach organizowanych przez ambasady i poselstwa krajów mających przedstawicielstwa dyplomatyczne w Laosie. Już po pierwszej imprezie mój zapał, tak zresztą jak i innych kolegów, szybko minął. Były one organizowane przeważnie z okazji świąt państwowych i były nudne, jedzenia i picia też dużo nie serwowano, a ponadto panował upał, a my musieliśmy być ubrani w galowe mundury i wylewać hektolitry potu. Dodam, że nasze mundury były skromne, ale prezentowaliśmy się w nich znacznie korzystniej niż obwieszeni złotymi i srebrnymi galonami i sznurami oficerowie innych

państw. Kiedy jeszcze przy powitaniach i pożegnaniach całowaliśmy panie w rękę, niektórzy – co bardziej przystojni – robili wśród płci pięknej prawdziwą furorę.

Nasza delegacja też zorganizowała takie przyjęcie – 22 lipca z okazji naszego ówczesnego święta państwowego. Przyjęcie było iście w staropolskim stylu. Jadła i napitków było w bród, a że polskie wódki, w odróżnieniu od szampana lub whisky, cieszyły się ogromnym powodzeniem, zabawa była przednia i trwała długo. Urządzona została w wypożyczonym na tę okazję pałacu przyjęć, bardzo przestronnym i z całym zapleczem gastronomicznym. Przybył na nią nawet ambasador Stanów Zjednoczonych Ameryki, Brown (przyjechał ostatni, a wyszedł pierwszy).

Na tym przyjęciu wraz z kolegą asystowałem ambasadorowie i jego małżonce w czasie witania gości. Nigdy przedtem i już nigdy potem nie ścisnąłem tyłu dłoni dyplomatów i ich żon. Zabawa, ale bez tańców, rozpoczęła się dopiero wówczas, kiedy przyjęcie opuścili najważniejsi. Piliśmy różnego gatunku trunki i nie wyszło to nam na zdrowie. Następny dzień trudno było przeżyć. Nie pamiętam już kiedy i w jaki sposób znalazłem się w naszej siedzibie. Koszty tego przyjęcia, pomimo protestów, ponieśli wszyscy członkowie naszej delegacji. Kierownictwo twierdziło, iż nie otrzymało na ten cel odpowiednich środków finansowych. Wielu z nas poddawało w wątpliwość takie tłumaczenie.

W czasie wolnym od zajęć służbowych uprawialiśmy sporty, zwiedzaliśmy miasto i jego najbliższe okolice oraz organizowaliśmy bliższe i dalsze wycieczki poza miasto. Zbyt daleko nie można się było jednak oddalać z uwagi na posterunki wojskowe i niebezpieczeństwo ostrzelania przez trudne do identyfikacji wojsko. Poza tym obowiązkowo uczyliśmy się języków. Nauczała sekretarka ambasadora, pani Alina Woźniak, która biegle władała kilkoma językami. Była to miła i sympatyczna kobieta, towarzyszyła nam w wielu spacerach i wycieczkach. W wolnych chwilach czytaliśmy książki, polską prasę, oglądaliśmy polskie filmy dostarczane z kraju i grywaliśmy w karty, szczególnie w bardzo popularną kanastę.

Pułkownik Jabłoński zobowiązał mnie do organizowania sportu. Urządziłem boiska do siatkówki i popularnego tutaj badmintona. Grywaliśmy z Hindusami i Kanadyjczykami oraz tubylcami. Większość meczy kończyła się naszym zwycięstwem. Między sobą grywaliśmy prawie codziennie, przeważnie w godzinach popołudniowych i wieczornych, gdyż boiska były oświetlone. Zdarzało się, że na boisku spędzałem kilka godzin dziennie. Miałem dobrą kondycję, ale straciłem przy tym około 15 kg.

Od czasu do czasu wyskakiwaliśmy też do miasta na kawę lub małego drinka, chociaż nie stanowiło to wielkiej atrakcji, ponieważ trzeba było z naszej siedziby dojechać do centrum samochodem. Ceny w restauracjach czy barach nie były na naszą kieszeń, zwłaszcza dla tych, którzy oszczędzali na zakup auta. Ponadto można było u naszego magazyniera p. Szczepaniaka zakupić, a czasem nawet dostać gratis butelkę dobrego alkoholu.

W mieście istniały naturalnie lokale, w których panie uprawiający najstarszy zawód świata świadczyły swe usługi. Wspomniałem już, że przed przeprowadzką do stałej siedziby mieszkaliśmy w hotelu, w którym mieścił się klub nocny. Można było, płacąc oczywiście odpowiednią kwotę, zaprosić panienkę do tańca. One pracowały od godz. 21.00 do 5.00 rano. Jeżeli pan chciał „wypożyczyć” upatrzoną dziewczynę, musiał zapłacić za okres jej nieobecności w lokalu. Pochodziły z różnych krajów, były różnych ras i narodowości. Co jakiś czas odbywała się rotacja. Widzieliśmy to na własne oczy, bo pojawiały się nowe twarze, a stare znikwały.

Często wyprawialiśmy się do pobliskich wiosek, bardzo biednych, w których domy, a właściwie szałas czy też baraki są zbudowane w większości na palach w obawie przed jadowitymi węzami i skorpionami. Do wioski szło się przeważnie prowadzącą przez dżunglę ścieżką, która była niczym tunel wycięty w masie zieleni. Tubylcy co jakiś czas musieli obcinać szybko odrastające gałęzie drzew i krzewów oraz innych roślin rosnących w tych lasach. Idąc takim tunelem, należało bardzo uważać na jadowite pijawki żyjące na drzewach oraz inne robactwo mogące w każdej chwili spaść człowiekowi za koszulę. Ukąszenie takiej pijawki było bardzo groźne dla zdrowia. Mogło nawet spowodować śmierć.

Ludność w tych wioskach żyła bardzo biednie. Większość mieszkańców chodziła boso lub w gumowych sandałach. Uprawiali ryż, różne warzywa i cytrusy, zwłaszcza banany. Hodowali drobny inwentarz, a bogatsi trzodę i bawoły.

W czasie pobytu w Laosie 2-krotnie spotkałem niebezpieczne skorpiony. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem nieznane mi zwierzę w hotelu, następnego dnia po przybyciu do Vientiane. Spaliśmy z Józkiem Fijałem w pokoju na parterze budynku. Obudziłem się rano, odsunąłem moskitierę i niedaleko naszych łóżek zauważyłem, że jakieś zwierzę wędruje po podłodze. Obudziłem kolegę, który w Laosie był już po raz drugi, i pokazałem mu naszego gościa. Okazało się, że rzeczywiście mieliśmy w pokoju skorpiona, który dostał się do pokoju prawdopodobnie przez dziurę w ścianie lub przez inną szczelinę. Został uśmiercony, a my przenieśliśmy się do pokoju na wyższej kondygnacji.

Innym razem spotkałem skorpiona, maszerując na kolację. Było już ciemno, po wielkiej burzy. Elektrownia wyłączyła oświetlenie ulic i szliśmy w ciemnościach, rozjaśniając sobie co pewien czas drogę ręcznymi latarkami. Ponieważ było parno i gorąco, chodziliśmy do pracy przeważnie w sandałach. W pewnej chwili nadepnąłem na coś miękkiego. Towarzyszący mi koledzy jednoznacznie i ze znanstwem orzekli, że to skorpion. Innym też się takie przygody zdarzały.

Jeszcze jedna sprawa z serii niebezpiecznych. Była nią ameboza, zwana obecnie czerwonką pełzakową. Wodę do picia i mycia zębów, a także na kawę czy herbatę należało gotować przez 10–15 minut, aby mieć pewność, że bakterie zostały zniszczone. Wszystkie owoce przed ich spożyciem należało umyć w wodzie ze specjalnym środkiem. Na tą dość trudną do wyleczenia chorobę nikt z naszej ekipy nie zachorował, choć wielu z nas dość często cierpiało na różne dolegliwości żołądkowe. Było to niewątpliwie zasługą naszego nieodżałowanej pamięci kolegi, lekarza ekipy, mjr. Tadeusza Miki, późniejszego profesora, wybitnego specjalisty od rehabilitacji, zastępcy komendanta Centralnego Szpitala Klinicznego Wojskowej Akademii Medycznej w Warszawie. Często udzielał nam fachowych porad, przeprowadzał stosowne badania i leczył wszystkimi dostępnymi środkami. Zegnałem Go na zawsze w styczniu 2001 roku na Cmentarzu Powązkowskim.

Wspominając kolegów, nie mogę pominąć tych, którzy pomagali nam w pracy, pełniąc funkcję tłumaczy. Nasza znajomość języków zachodnich (przynajmniej przez niektórych z nas) nie pozwalała na swobodne prowadzenie rozmów, tłumaczenie pism i korespondencję z partnerami z Komisji. Niezwykle przydatni byli studenci ostatniego roku studiów Instytutu Spraw Międzynarodowych z Moskwy. Biegłe władali 2–3 językami zachodnimi, a kilkuletnie studia dyplomatyczne przygotowały ich do pełnienia w przyszłości wielu odpowiedzialnych funkcji w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Byli wśród

nich tak znani później i zasłużeni dla polskiej dyplomacji ludzie jak: Edward Baradziej – ambasador w Indonezji i Afganistanie, Stanisław Jarząbek – ambasador na Kubie i w Peru, Jan Bojo – ambasador w jednym z krajów afrykańskich, oraz Władysław Spyła i Mieczysław Gorajewski – wysokiej klasy urzędnicy MSZ. Byli świetnymi fachowcami, a ponadto niezwykle koleżeńscy, uczynni i sumienni. Nie stronili od sportu. Jarząbek był najlepszy w badmintonie, a Bojo – najlepszym siatkarzem. Wszyscy cieszyli się ogromną sympatią pozostałych członków delegacji.

Jeszcze kilka zdań o mieszkańcach Laosu i jego stolicy. W tamtych czasach Laos zamieszkiwało mniej więcej 3 mln ludzi, w tym trzy główne grupy narodowościowe: Lao i plemiona górskich Thajów; Khmerowie i Monowie; Miao i Man.

Laos był i chyba nadal jest monarchią dziedziczną. Głową państwa był król, którego siedziba znajdowała się w Luang Prabang. Władza ustawodawcza (w czasie pokoju) należała do 2-izbowego parlamentu. Dzisiaj nie potrafię powiedzieć jak te sprawy wyglądają i kto właściwie sprawuje rządy.

Laotańczycy – przynajmniej ci, z którymi ja się zetknąłem – byli pogodni, przeważnie uśmiechnięci i ogólnie sympatyczni. Wydaje mi się, że nawet zadowoleni z życia. Nie spótkaliśmy się z objawami wrogości czy niechęci. Natomiast do pracy, chyba ze względu na klimat, nie wykazywali większych chęci, nie mówiąc już o pracowitości. Jeden przykład. Obsługujący naszą delegację dwaj pracownicy fizyczni otrzymali zadanie przygotowania boiska do siatkówki. Naturalnie skinęli głowami, że zrozumieli, potwierdzili to słowem i ... na tym się skończyło. Następnego dnia poszedłem sprawdzić jak przebiegają prace, okazało się, że nie wykopali nawet jednego dołka, a mieli tylko wytyczyć granice boiska i wkopać słupki. Powtórzyło się to jeszcze chyba dwa razy. W końcu zrezygnowaliśmy z ich usług i sami w ciągu kilku godzin wykonaliśmy całą pracę. Natomiast nasz kierowca był zawsze gotowy do jazdy i dbał o swój samochód.

Miasto Vientiane w czasie mojego pobytu liczyło około 150 tys. ludności. Znaczna część jego mieszkańców, w związku z toczącymi się walkami, przeniosła się na inne tereny. Leży nad Mekongiem. Stolicą kraju jest od drugiej połowy XVI wieku. Zawsze było ośrodkiem handlu rolniczego. Nieźle rozwinięty był przemysł spożywczy i drzewny. Miasto nie miało kanalizacji i było źle utrzymane, czemu nie ma się co dziwić ze względu na toczącą się od wielu lat wojnę. Było wówczas typowym miastem Dalekiego Wschodu.

Zabytków nie posiadała zbyt wiele, oprócz okazałych świątyń buddyjskich. Najśłynniejsza jest pagoda Phya Vat, bogato zdobiona rzeźbą dekoracyjną. Innym zabytkiem godnym uwagi jest pawilon biblioteczny Vat Sisket z 1820 roku. Więcej zabytków ma Luang Prabang, ale nie miałem szczęścia tam być.

W samym Vientiane wiele ludzi, zwłaszcza tych biedniejszych, w ciągu dnia żyło na ulicach. Tam przygotowywali i spożywali posiłki. Restauracje, naturalnie nie wszystkie, były na kołach, a stacjonarne na chodnikach. Jedzenie przygotowywano na oczach konsumentów. Odpady wrzucano do rynsztoków. Fryzjerzy i golibrody, a nawet i dentyści urzędowali często pod gołym niebem. Na ulicach miast i wsi – stada bardzo leniwych i ospałych psów, które nie ustępowały ludziom z chodników, a samochodom z jezdni. Rolę taksówek spełniały popularne riksze rowerowe na trzech kołach. Były głównym środkiem lokomocji na dłuższych odległościach. Kilka razy widzieliśmy ludzi, którzy w nocy, świecąc sobie

latarkami, na drzewach i krzewach chwyтали owady, prawdopodobnie termity. Następnie wkładali je do butelek lub żywcem zjadali jako wielki przysmak.

Na ulicach widoczne duże kontrasty, z jednej strony luksusowe auta bogaczy, z drugiej, riksze i rowery odzianych w łańchmany nędzarzy. Na porządku dziennym był widok pasących się w centrum miasta, między wysokiej klasy pojazdami, bawołów i innych mniejszych zwierzaków.

Chaty w wioskach, budowane na palach, składały się w zdecydowanej większości z jednego pomieszczenia przedzielonego zazwyczaj matą ze słomy ryżowej. Spano na takich matach rozłożonych na podłodze. Gdy właściciel chaty miał więcej niż jedną żonę (tamtejsze prawo na to pozwalało), to z aktualną małżonką spał w jednej „izbie”, a pozostałe z dziećmi w drugiej. Podobno słynny w swoim czasie kpt. Kong Le miał trzy żony: jedną na południu kraju, gdzie rządziła prawica, drugą na północy, gdzie dominowało Pathet Lao, a trzecią w Xieng Khouang.

Na ulicach miast i wsi często widzieliśmy na „tyso” ogolonych, idących w rzędach, w pewnych odstępach mnichów buddyjskich, zwanych bonzami. Odziani w jaskrawo pomarańczowe szaty wychodzili ze swych klasztorów, żeby zbierać żywność i pieniądze na swe utrzymanie. Stanowili elitę kulturalno-intelektualną, byli wykształceni, postępowi, tolerancyjni i przyjaźni wobec nas, cieszyli się wielkim poważaniem. Wśród nich było dużo chłopców ubranych w takie same szaty. Pobierali oni naukę w szkołach przyklasztornych. Przez taką szkołę musiał przejść podobno każdy chłopak. Po kilku latach mógł pozostać w świątyni lub wrócić do rodziny.

W gronie kilku kolegów oglądałem Święto Płodności, być może, że nosiło ono inną nazwę. Dokładnej nazwy po tylu latach nie pamiętam. Utkwiły mi w pamięci tylko nieliczne epizody z tego spektaklu. Pamiętam młodych mężczyzn pływających łodziami po Mekongu, w niewielkiej odległości od brzegu. Do bioder mieli przyłączone ruchome, około 50-centymetrowe sztuczne penisy. Słysząc było dźwięki typowej dalekowschodniej muzyki, a pływający mężczyźni wydawali niezrozumiałe dla nas okrzyki. Na brzegu rzeki starsi, młodzi i najmłodszy przyglądali się widowisku, a odziane w barwne ludowe stroje dziewczyny popisywały się tańcami. Wszyscy się cieszyli, śpiewali, a niektórzy rzucali bukiety kwiatów do rzeki, która niosła je daleko.

I ostatnia już ciekawostka. Wieczorami w naszej siedzibie, na wolnym powietrzu były wyświetlane z wykorzystaniem własnej aparatury filmy fabularne i kroniki nadsyłane z kraju. Na seanse te przychodziło wielu mieszkających w pobliżu tubylców w różnym wieku, którzy oglądali je, stojąc za ogrodzeniem. W jednej z kronik pokazywano fragmenty zimy w Polsce: gęsto sypiący śnieg, grube jego warstwy zalegające na ulicach, przysypane domy i samochody oraz mieszkańców pracujących przy odśnieżaniu. Sceny te wywołały wśród przybyłych widzów ogromną wesołość. Śmiechy i oklaski trwały długo. Później uświadomiono nas, że powodem takiego ich zachowania było kompletne zaskoczenie. Ludzie żyjący w tropiku, zimę w naszym wydaniu zobaczyli po raz pierwszy w życiu. Nigdy z takim zjawiskiem się nie zetknęli, nie mieli pojęcia, że coś takiego istnieje na świecie. I pomyśleć, że wiele lat później młodzi i prężni Laotańczycy z powodzeniem studiują w naszym kraju lub prowadzą interesy – niekiedy nawet na ulicy w mroźnej scenerii.

Czas szybko płynął, zbliżało się Boże Narodzenie i Nowy Rok. Święta upłynęły nam spokojnie, już nie pamiętam, czy była choinka, ale raczej nie. Na pewno nie było tradycyjnej kolacji wigilijnej, gdyż stołowaliśmy się w restauracji, w której nie znano przepisów na nasze świąteczne przysmaki, a i wśród nas nie było chętnych do wystąpienia w roli kucharza.

Inaczej było w gorącą, wręcz upalną sylwestrową noc. W odpowiednio udekorowanej sali naszego biura zorganizowaliśmy towarzyskie przyjęcie. Jakże było ono odmienne od naszych polskich balów sylwestrowych. Z damą swego serca wyruszało się w mroźną i śnieżną noc, aby w gronie bliskich i przyjaciół, przy suto zastawionym stole, bawić się aż do białego rana.

Ja i żona uwielbialiśmy takie imprezy i tylko wyjątkowa sytuacja mogła przeszkodzić nam w uczestniczeniu w sylwestrowej zabawie. Tu w Laosie było inaczej. Byliśmy tysiące kilometrów od kraju, od swoich bliskich, choć myślami łączyliśmy się z nimi. W tym spotkaniu nie było, bo być nie mogło, tej sylwestrowej polskiej atmosfery, choć były toasty i życzenia. Dlatego też szybko się zakończyło.

W styczniu 1962 roku rozpoczęliśmy przygotowania do powrotu w rodzinne strony. Minęło 8 miesięcy od wyjazdu z kraju, czyli tyle, ile przewidywano. Pierwsza grupa wyleciała do kraju w połowie stycznia. Ja i trzej koledzy (ppłk Zdrażił, kpt. Kozak i kpt. Harz) wylecieliśmy do Sajgonu w Wietnamie Południowym pod koniec tego miesiąca. Z Polski przylecieli oficerowie, którym przekazywaliśmy obowiązki. Załatwialiśmy też swoje prywatne sprawy. Ja i Zdzichu Harz (już nie żyje) kupowaliśmy samochody we francuskiej firmie samochodowej Simca (obecnie już nie istnieje), u przedstawiciela w Vientiane. Była to bardzo korzystna transakcja. Otrzymywaliśmy kilkuprocentowy upust za zakup grupowy i taką samą zniżkę za posiadanie paszportu dyplomatycznego.

Każdy z nas kupował ponadto różne tańsze i droższe upominki, w zależności od zasobności portfela. Kupiłem trochę biżuterii ze złota, które w tym czasie w Laosie było stosunkowo tanie. Dla dzieci mechaniczne japońskie zabawki, a dla siebie też złoty sygnet, zegarek (skradziony kilka miesięcy po powrocie do kraju) oraz cywilne ubranie, gdyż do kraju wracaliśmy przez Zachód. Poprzednie grupy wracały tą samą trasą, którą przybywały do Indochin, tj. przez Chiny i ZSRR.

Byliśmy pierwszą delegacją do Komisji, której członkowie mieli prawo wybierać trasę powrotu, który musiał odbyć się w ciągu dwóch tygodni. Otrzymywaliśmy diety w wysokości 300 dolarów amerykańskich. Przelot opłacała Komisja, pozostałe przyjemności – za interesowany. Nasze ciężkie bagaże przewieziono transportem Komisji do portu w Hajfongu w Wietnamie, skąd polskim statkiem handlowym dotarły do Polski. Trwało to miesiąc, a może i dłużej.

Po pożegnalnym obiedzie z udziałem wojskowego kierownictwa delegacji, zostaliśmy przez naszego oficera transportowego kpt. Romualda Nowackiego odwiezieni na lotnisko w Vientiane. Po załatwieniu ostatnich formalności i pożegnaniu z naszymi kanadyjskimi i hinduskimi partnerami oraz z kolegami, a wśród nich z mjr. Czesławem Lechem i najbliższym memu sercu Józkiem Fijałem (pozostał jeszcze kilka miesięcy w Laosie na stanowisku doradcy prawnego, zastąpił Bernarda Trelę, który ze względu zdrowotnych musiał wcześniej powrócić do kraju), odlecieliśmy samolotem MKNiK do Sajgonu, gdzie przebywaliśmy kilka dni, zwiedzając miasto i robiąc ostatnie zakupy. Mieszkaliśmy w hotelu usytuowanym

w ładnym parku. Jednego dnia ze Zdzisławem Harzem zajechaliśmy aż do chińskiej dzielnicy miasta – Cholon. Wówczas było to właściwie miasto w mieście, bardzo rozległe, z którego mieliśmy pewne trudności z powrotem do hotelu.

Wówczas w Sajgonie przebywało wielu żołnierzy zarówno amerykańskich, jak i innych narodowości, którzy walczyli pod flagą Organizacji Narodów Zjednoczonych. W mieście było mnóstwo różnych lokali rozrywkowych. Niestety, nasze portfele nie były na tyle zasobne, żeby z nich korzystać. Stać nas było jedynie na spędzenie dwóch wieczorów w kasynie wojskowym.

Do Europy wracaliśmy Francuskimi Liniami Lotniczymi „Air France”, samolotem odrzutowym „Douglas”. Po starcie samolot miał pewne trudności techniczne i po kilku minutach lotu zawrócił na lotnisko w Sajgonie. Pasażerowie opuścili samolot i do pracy przystąpili technicy i mechanicy.

Część pasażerów zrezygnowała z lotu tym samolotem. Po przerwie trwającej 2–3 godziny ponownie wystartowaliśmy i już bez przeszkód odbyliśmy lot do stolicy Kambodży – Phnom Penh. Krótki postój, nowi pasażerowie i znów start, tym razem do Bangkoku w Tajlandii. Leciliśmy głęboką nocą, widoczność była zerowa. Mieliśmy międzylądowania w Karaczi w Pakistanie i w stolicy Iranu – Teheranie. W tym ostatnim mieście postój był dłuższy, zezwolono podróżnym opuścić lotnisko i wyjść do miasta. Na jednej z ulic skosztowaliśmy bardzo mocnej kawy. Przyrządza się ją zalewając odpowiednią porcją kawy wrzątkiem, potem ponownie podgrzewa do temperatury wrzenia i zalewa kolejną porcją kawy. Po trzecim razie podawano ją do spożycia w małych filiżankach. Miała konsystencję zbliżoną do gotowanej smoły. Nigdy potem podobnego paskudztwa nie piłem. Serce skakało mi jak po wypiciu trzech dużych szklanek normalnej kawy.

Z lotniska w Teheranie, a panowała słoneczna pogoda, doskonale był widoczny pokryty śniegiem najwyższy szczyt Kaukazu – Elbrus, wznoszący się na 5642 m n.p.m.

Następnym etapem naszej podróży był Rzym. Służby sanitarne na lotnisku nie zezwoliły podróżnym na pobyt w stolicy Włoch bez odbycia odpowiedniej kwarantanny. Okazało się, że w Karaczi wykryto ogniska zakaźnej choroby i dlatego wszyscy Pakistańczycy pozostali w Rzymie i prawdopodobnie musieli przejść kwarantannę. My byliśmy w szczęśliwej sytuacji – mieliśmy świadectwa szczepień, które robiono nam co jakiś czas w Laosie.

Lecąc z Rzymu do Paryża podziwiałem piękne, pokryte białym śniegiem szczyty Alp. Lot był stosunkowo spokojny, chociaż odczuwaliśmy przykre dolegliwości wywołane dłuższy czas trwającymi turbulencjami. Pomimo pięknej pogody, samolot „zapadał” się, trafiając na dziury powietrzne. Leciął na wysokości mniej więcej 9 km, ze średnią prędkością 900 km/godz., a nie znajdował jednak dostatecznego oporu pod sobą do spokojnego lotu. Większość pasażerów dostała torsji, stewardesy nie mogły sobie z nimi poradzić. Mnie też było niedobrze, ale jakoś dotrwałem.

W Paryżu byliśmy nieco ponad tydzień. Z przystosowaniem się do warunków europejskich nie miałem żadnych trudności. Już pierwszego dnia spałem prawie normalnie, nie odczuwałem 8-godzinnej różnicy czasowej pomiędzy Indochinami a Europą Zachodnią.

Ze Zdzisławem Harzem zwiedzaliśmy miasto. Nasi dwaj towarzysze podróży trzymali się oddzielnie. Byliśmy w Luwrze, Pałacu Inwalidów (mauzoleum Napoleona), katedrze Notre Dame, bazylice Sacre Coeur na Montmarte. Spacerowaliśmy pod wieżą Eiffła, na Champs

Elysses, pod Łukiem Triumfalnym i na placu Concorde. Pierwszy raz w życiu jechałem metrem. Dokonałiśmy ostatnich zakupów w ekskluzywnym i znanym na całym świecie domu towarowym Lafayette.

Odwiedziliśmy też salon samochodowy firmy Simca, w którym wybraliśmy interesujące nas auta, opłacone już w Vientiane. Załatwiliśmy także ich transport do Polski. Podjęła się tego zadania firma Hartwig. Samochody zobowiązała się dostarczyć w ciągu 2 miesięcy. Wywiązała się z tego w ustalonym terminie. W tym miejscu mała dygresja. Załatwiając w tym salonie ostatnie formalności, zostaliśmy zaskoczeni kulturą i sposobem traktowania klientów. Zaproszono nas bowiem do stolika, poczęstowano napojami i słodyczami i wypełniano ostatnie dokumenty. Jeszcze wcześniej pokazywano nam różne pojazdy, wychwalając ich zalety, informując o danych technicznych i proponując próbną jazdę, z której nie skorzystaliśmy. Znakaj ówczesne polskie realia, nie spodziewaliśmy się tak uprzejmego traktowania klientów.

Poszliśmy również na słynny plac Pigalle. Zaliczyliśmy dwa lokale rozrywkowe. W jednym był 3-godzinny striptiz. Bilet wstępu wydawał się nam względnie tani. Przy wejściu na salę trzeba było jednak zakupić program, który kosztował tyle samo, a może nawet więcej niż bilet wstępu. Oglądając występy przy stolikach, wypadało zamówić chociaż jakiś napój. Większość gości miała na stołach kufle z piwem, więc i my poszliśmy za ich przykładem, licząc na to, że nie zapłacimy zbyt drogo. Okazało się jednak, że było droższe od biletu i programu razem wziętych. Nie będę dalej drążył tego tematu, powiem tylko, że nie bardzo nam się podobał. Oglądanie bowiem przez kilka godzin rozbierających lub ubierających się pań nie stanowiło dużej atrakcji. Nie było nas stać na bilet do Folies Bergere lub Moulin Rouge.

W pierwszych dniach pobytu w Paryżu zostaliśmy przyjęci w polskim ataszacie wojskowym, gdzie poinformowano nas o mieście i jego mieszkańcach oraz miejscach i zabytkach godnych zobaczenia i zwiedzenia.

Paryż, o którym wcześniej dużo słyszałem i czytałem, zrobił na mnie wielkie wrażenie i dał dużo satysfakcji. Marzyłem, aby zobaczyć to miasto, jego słynne budowle, zabytki kultury i sztuki, obiekty sakralne, teatry i muzea, a w nich obrazy i rzeźby wielkich mistrzów pędzla i dłuta. Teraz moje dawne marzenia w dużej mierze się spełniły.

Francję i Paryż odwiedziłem ponownie w 1992 roku, czyli po trzydziestu latach od tamtego pierwszego pobytu. W większości byłem w tych samych miejscach i obiektach co poprzednio. W mieście zaszły jednak duże zmiany. Powstały nowe obiekty, np. Centrum Pompidou, czy nawet całe dzielnice, jak nowoczesna La Defense, które mnie jednak nie zachwyciły. Wolę oglądać starsze obiekty.

Ostatnim etapem mojej podróży był lot, tym razem już polskim samolotem, z lotniska Le Bourget do Warszawy, z międzylądowaniem w Berlinie Zachodnim. Postój trwał krótko. Samolot zabrał tylko kilku pasażerów i godzinę później wylądował na Okęcie. Była połowa lutego 1962 roku.

Na lotnisku wśród witających nie dostrzegłem nikogo z mojej rodziny. Zrobiło mi się smutno. Byłem zawiedziony, nie wiedziałem co się stało. Przecież żona знаła datę mojego powrotu. W końcu w tłumie witających dostrzegłem żonę mojego przyjaciela kpt. Henryka Miecznińskiego – Annę, mieszkającą w Warszawie. Od niej dowiedziałem się, że żona nie mogła przyjechać, ponieważ nie miała z kim zostawić naszych dzieci i ją wysłała w zastępstwie.

Po przyjeździe do Bolesławca okazało się, że jest poważnie chora. Zachorowała tuż po moim wyjeździe, ale nie zostałem o tym poinformowany. Obawiała się, że kiedy tak smutna wiadomość dotrze do mnie, to zrezygnuję z pracy w Komisji i zaraz powrócę do kraju. Nie chciała zrobić mi takiej przykrości. Poradziła sobie ze wszystkim sama. Jestem jej za to wdzięczny do dziś, chociaż wówczas byłem zły. Takie to już są te polskie ofiarne i dzielne oficerskie żony.

Podczas mojej długiej podróży dużo zwiedziłem, oglądałem wiele krajów i miast, zabytków, dzieł sztuki, nowoczesne sklepy i towary. Otarłem się o wojnę, przeżyłem wielkie emocje, a może i najadłem się strachu. Nie żałuję jednak podjętej decyzji. Praca w Komisji w Indochinach rozszerzyła moje horyzonty, pozwoliła mi lepiej poznać i zrozumieć świat i ludzi, dała dużo satysfakcji, w tym również materialnej.

Jestem głęboko przekonany, że nasza działalność w Komisji w Laosie, mimo wielu przeciwności i przeszkód, przyczyniła się do zaprzestania walk, a tym samym ocaliła wiele istnień ludzkich i w konsekwencji doprowadziła do normalizacji życia w tym naprawdę uroczym kraju. Polacy zapisali tam piękną kartę.

Po 40 latach bardzo miło wspominam tę wspólną przygodę i myślę, że będę ją pamiętał do końca życia.

Bardzo chciałbym ponownie odwiedzić ten kraj.